

Teksty Drugie 1994, 2, s. 149-158



Bachtin – nie uniwiermag...

Anna Legeżyńska, Wojciech Wielopolski

Anna Legeżyńska, Wojciech Wielopolski

Bachtin – nie uniwiermag...

Zwierzenia autobiograficzne, które ośmielimy się przedstawić, na pewno nie zasługują na uwagę jako opisanie naszych Istnień Poszczególnych. Mamy dostatecznie dużo skromności i umiaru w ocenie swych walorów duchowo-intelektualnych, by nie żywić złudzeń, że odbiegają one od normy przeciętnego polonisty. Jesteśmy już z tym faktem pogodzeni. Jednocześnie nie tracimy nadziei, że jako Istnienia Ogólne reprezentujemy pewne pokolenie badaczy, kształconych na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a dojrzewających w jakże niezwykłych latach osiemdziesiątych. Można by zatem posłuchać naszej opowieści jako relacji świadków rozkwitu i schyłku metodologii strukturalnosemiotycznej. Zostaliśmy przez tę orientację uformowani, więcej: popadliśmy w swoiste od niej uzależnienie. Czy terapia jest potrzebna i czy jest możliwa? Nie nam sądzić...

Akademicka scheda

Był rok 1974. Poznań. Kończyliśmy studia z błogą nieświadomością przyszłej profesji. Proces studiowania rozpadał się wyraźnie na dwie fazy: przed-naukową i *quasi*-naukową. Nim zaczęliśmy odróżniać poczynania sentymentalnej humanistyki od skodyfi-

kowej analizie typu strukturalistycznego, trwaliśmy w stadium samozadowolenia (nazwijmy je metodologicznego), opierającego się na kanonach szkolnej polonistyki schyłku lat sześćdziesiątych. Jej konfrontacja ze sposobem interpretowania poezji przez młodego stażystę, niejakiego Stanisława Barańczaka, który głosem tłumionym przez bujny zarost objaśniał nam, co znaczy tajemne słowo „struktura” — groziła w pewnym okresie katastrofą. Barańczak, obok utworu Bocaccia, omawiał wiersze Mirona Białoszewskiego, lekturę nieznaną z edukacji szkolnej. Pokazywał niepojęte na pierwszy rzut oka licealisty związku między poetyckością a kalekim zdaniem: *wywód jestem'u*.

Rozpoczęliśmy zatem studia awangardowo, lecz przez następne lata nieco drzemaliśmy, przy wtórze cicho i bezpiecznie szemrzącego strumienia tradycyjnych wykładów historycznoliterackich, gramatyki opisowej, filozofii marksistowskiej etc.

Trzeci rok edukacji urozmaiciły ćwiczenia i wykłady z teorii literatury, autorstwa Edwarda Balcerzana i Jerzego Ziomka, których wcześniej oglądaliśmy z nabożnym lękiem jedynie na korytarzach Collegium Novum poznańskiego uniwersytetu, a mieli oni wówczas niejasną opinię „odszczępieńców”. (Nie wiedzieliśmy jeszcze, czy zasłużoną.) Teraz zetknęliśmy się nie tylko z osobowością uczonych, lecz i z całkowicie nowym typem zajęć. Odślaniały nam one nieznaną dotąd laboratorium. Wchodziliśmy doń z fascynacją, ale i z odrobiną grozy. Oprócz trochę już oswojonych „struktur”, „diachronii”, „synchronii”, „znaków”, czy „opozycji”, spoczywały tu nieco przykurzone „motywy”, „tematy”, „fabuły” i „narracje”, lecz także — niepokojące „sjużety”, „wyglądy uschematyzowane”, „translatologie”, „symultalizmy”, a nawet groźne potwory w rodzaju „projekcji zasady ekwiwalencji z osi wyboru na oś kombinacji”. Był to nowy sposób mówienia o literaturze (sądziłyśmy, że ogólnouniwersytecki), a zarazem nowe metody dyskursu o całościach większych niż pojedyncze dzieło. Podobiała nam się ta zabawa, chętnie więc wkładaliśmy fartuchy laborantów i uczenie preparowaliśmy niewinne poematy, sonety, treny czy antypowieści. Sale wykładowe Jerzego Ziomka i klasy ćwiczeniowe Edwarda Balcerzana były pełne, choć zadalibyśmy kłam rzeczywistości głosząc, iż wypełniali je wyłącznie entuzjaści nowej metody. Złośliwych niedowiarków i prześmiewców wśród braci studenckiej też już wtedy nie brakowało.

Czwarty rok studiów spotęgował tę strukturalistyczną aurę, przynosząc w programie nauki wykład (absolutnie obowiązkowy!) z metodologii i seminarium magisterskie. Choć, co tu ukrywać, miazmaty przenikały nawet na zajęcia zdawałoby się tak szacowne, jak literatura staropolska Janiny Abramowskiej czy międzywojenna Ewy Wiegandtowej. Mówiący te słowa dostali się przede wszystkim pod podwójnie wzmocnioną kuratelę autora *Dwujęzycznej twórczości Brunona Jasieńskiego*, który wykladał o Lessingu czy semiotycznych aspektach poezji, a nadto eksperymentował na swym pierwszym seminarium. Obok *Matki* Witkacego analizowaliśmy poetykę sprawozdań sportowych, zaś recenzji *Nowych ust* Peipera towarzyszyły pisane przez nas suplementy do właśnie wydanego *Zarysu poetyki* Miodońskiej–Brooks, Kulawika i Tatary. Uważaliśmy, że są to „fałszywe” trojaczki i uzupełnialiśmy je w duchu trojczaków „właściwych” – nowymi hasłami czy problemami. Były też rozmowy na temat teatru, teorii przekładu, poezji onirycznej czy wiersza wolnego.

Trzeba więc przyznać, że nasza edukacja akademicka miała solidne fundamenty strukturalnosemiotyczne. Była to jednak wiedza na wpeł świadoma i w dużej mierze zależna od wsparcia ze strony Żywego Autorytetu. Kiedy współautorka niniejszych wspomnień dwukrotnie uczestniczyła w studenckich konferencjach naukowych, organizowanych przez Uniwersytet Wrocławski, największą atrakcją pozostawały w jej pamięci bezpośrednie kontakty z „prawdziwymi” IBL-owcami, znanymi dotąd jedynie z lektur. Młody Marian Płachecki analizował, na przykład, *Plakat* Barańczaka, Krzysztof Zaleski mówił o Gombrowiczu, silna grupa studentów Aleksandra Berezy penetrowała problemy komunikacji językowej gdzie jeno możliwe, a w zacisznej stołówce pensjonatu „Krokus” ranne bułeczki chrupało się w rytm uczonych dysput o *signifié* i *signifiant* (czegokolwiek). Tak oto powstawał nasz pejzaż semiotyczny.

Wkrótce życie przyniosło świeżo upieczonym magistróm zdumiewającą ofertę, a mianowicie etaty naukowo-dydaktyczne w Zakładzie Teorii Literatury IFP Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zaczęły się schody...

Momentem inauguracyjnym w tym zawodzie stała się dla nas konferencja – *nomen omen* – metodologiczna w Warszawie w 1974 roku. Rozumieliśmy z niej niewiele, raczej zapamiętaliśmy atmosferę wielkiego przeglądu postaw ówczesnego literaturoznawstwa. Mamy też

przed oczyma żywy obraz przechadzającego się za stołem przydialnym Kazimierza Wyki, który przysłuchiwał się wywodom, a na jego twarzy pojawiał się raz po raz cień jakiś sceptyczny... Tak się przynajmniej nam wówczas wydawało. Mimo braku dokładnej orientacji potrafilibyśmy już wtedy określić preferowany model uprawiania nauki. Nie był to program Jerzego Kmity, który upominał się o marksistowską metodologię; nie był to też sugestywny apel hermeneutyczny Marii Janion, która mówiła o historii idei w badaniach literackich. Podobał nam się (swojski już prawie) model warszawsko-poznański. Opis i interpretacja w ujęciu Janusza Sławińskiego. Teoria wersologii – w ujęciu Edwarda Balcerzana. Układy fabularne – w rozumieniu Kazimierza Bartoszyńskiego. Była to metodologiczna scheda, wyniesiona z pięcioletniej edukacji akademickiej, która miała nas żywić przez następne lata. Nieświadomi jeszcze praw gospodarki rynkowej, lekkomyślnie zapomnieliśmy, że należy ten spadek raczej zainwestować, niż przejadać. Tamta pewność siebie to pierwsze oznaki „osobistej metodologii”. Była ona wówczas rolą podjętą i odgrywaną na polskiej scenie międzynarodowego strukturalizmu. Cóż z tego jednak, gdy pierwsze artykułiki pisaliśmy nieśmiało, bez odważniejszych prób użycia świetnie wypolerowanych narzędzi strukturalnej analizy.

Metodologia rodzinna

W Zakładzie było jak w rodzinie. Profesor Jerzy Ziomek, Jerzy – jak doń niebawem mówiliśmy – dbał w równym stopniu o nasz komfort psychiczny, co i o dynamiczny rozwój naukowy. Stwarzał enklawę badawczo-ludyczno-przyjacielską, której granice określały mniej więcej wspólny światopogląd i sprzeciw wobec tzw. genetyków bosych. Imprez i sytuacji integrujących było wiele: regularne czwartkowe dyżury, czyli „posiady”, zebrania naukowe Zakładu, konferencyjne wyjazdy, a nawet „parapetówki”, czyli zbiorowe i uroczyste wizje lokalne w nowych mieszkaniach kolegów, przy okazji których poznawaliśmy nie tylko dzieje poznańskiej polonistyki, ale także historię współczesną Polski.

Lubiliśmy własne, zakładowe towarzystwo i własny styl dyskursu: żartobliwy, a przecież oparty na regułach dociekliwości i lekturowej rzetelności. Wolno było mówić dowcipnie, albo mało cenzuralnie, ale nie wolno było mówić wszystkiego, co ślina na język przyniesie. Dla-

tego wygłoszenie referatu na zebraniu Zakładu stawało się niekiedy zadaniem trudniejszym od występu na ogólnopolskiej konferencji. Praktykowaliśmy też sprawozdania z lektur czy dyskusje nad konspektami przyszłych książek. Dziś stoją one już na bibliotecznych półkach – owe *Austerie felix*, *Strategie liryczne*, *Bajki ezopowe* czy *Retoryki opisowe*, a jeszcze pamiętamy burzliwe spory nad ich wersją roboczą. Każda dyskusja pozostawiała w naszej świadomości lekcję metodologiczną, które po kolei układały się stopniowo w jasny i rzeczywisty system. Wedle jego reguł prowadziliśmy zajęcia ze studentami i pisaliśmy własne teksty. Był to system, jeśli wolno tu tak powiedzieć, strukturalizmu praktycznego. Trudno przecenić rolę, jaką w jego umocnieniu i tworzeniu naszego dobrego samopoczucia metodologicznego odgrywała wspomniana dydaktyka uniwersytecka. To tutaj właśnie sprawdzaliśmy zawodowe narzędzia, ale nierzadko musieliśmy też bronić naszego światopoglądu. Poprzez rozmowy na ćwiczeniach i konwersatoriach trafialiśmy też niekiedy w mniej znane nam obszary humanistyki i próbowaliśmy poznawać inne odmiany literaturoznawczej komunikacji. Nic więc dziwnego, iż jakby przez pączkowanie powstawały w Zakładzie nowe formy naukowego dialogu, m.in. junioraty. Były to zebrania młodych asystentów i doktorów (oraz rozmaitych sympatyków), inspirowane przez ich niepokoje metodologiczne. Próbowano tam roztrząsać wybrane i opracowane lekturowo tematy. Pamiętne były spotkania na temat semiotycznej szkoły tartuskiej czy wzajemnych zależności retoryki i poetyki. Junioraty na pewno sprzyjały samodzielnym poszukiwaniom, choć może i niekiedy umacniały w nas skłonności doktrynerskie.

Strukturalizmowi praktycznemu – tej metodologii „rodzinnej” – towarzyszyły także zjawiska nie bardzo pozytywne. Czuliśmy się zbyt bezpiecznie, niczym w zbiorowości swojaków, która niechętnie przyjmuje do wiadomości istnienie wspólnot konkurencyjnych. Wiedzieliśmy, że gdzieś tam na rubieżach kraju lęgną się inne techniki poznawania literackiego tekstu: hermeneutyka i krakowski personalizizm. Czytaliśmy o nich, ale raczej unikaliśmy konfrontacji czy polemiki. Podobnie traktowaliśmy nowinki ze świata semiotyki zachodniej. Jerzy Ziomek pisał wprawdzie teksty w rodzaju *Sarbiewski jako krytyk Todorova*, lecz bliższa była nam lapidarna krytyka zawarta w przezwie „szalona Julka” (to o Kristevej). W naszych niedowarzonych umysłach dość dobrze utrwaliła się wizja metodologicz-

nej Arkadii, którą ufundował strukturalizm, okopała – szkoła tartuska, a upowszechniło – ówczesne piarstwo literaturoznawcze, znakomicie prezentowane przez „Teksty”. Były one dla nas najważniejszym tekstem środowiskowym („Pamiętnik Literacki” czytało się fragmentarycznie). „Teksty” sankcjonowały ukochaną tonację zabawowo-scjentystyczną, ów krotochwilny dystans wobec Powagi Nauki o Wielkich Tradycjach. Uczyły też trudnej sztuki przekładu mowy uczonej na styl eseistyczny, publicystyczny czy felietonowy. Na łamach „Tekstów” pojawiali się też przeciwnicy (i to liczni!) strukturalistycznego światopoglądu. Ale przecież wydawało nam się, że i tak postępuje stopniowa korelacja metodologii ogólnej z poznańską. Byliśmy w rodzinie. I to zobowiązywało. Czy jednak „familijne” związki kiedykolwiek odczuliśmy jako niewygodę? Można rzec, iż wprost przeciwnie. Nigdy nie zapomnę, jak Jerzy Ziomek najwyraźniej znużony uporczywym odwoływaniem się do myśli wielkiego uczonego rosyjskiego, napisał na marginesie mojego konspektu: „Bachtin nie *uniwiermag*”. Zdaniem tym Profesor oprotestował moją ambitną próbę skarnawalizowania wizji młodej prozy przełomu październikowego, co żarliwie lansowałam w brulionie rozprawy doktorskiej. I trudno było wytłumaczyć się z tego zarzutu podczas zakładowej dyskusji. Niejednokrotnie wzywano nas do opamiętania, gdy zbyt literalnie czytaliśmy strukturalistyczne nowości, zapominając o solidnej pracy historyka literatury. Wszyscy mówiliśmy tym samym ogólnym językiem metodologii strukturalnej, rozumianej jednakowoż niezwykle elastycznie, czy też pojemnie. Podobieństwo to nie zacierało, rzecz jasna, cech jednostkowych. Można rzec, iż różniły nas indywidualne style dyskursu. Pisał o tym Edward Balcerzan:

Spróbuj raz, młody i niemłody humanisto, przedrzeć się przez style wyświechtane a niczyje, zacznij pisać językiem własnym – unikając zarazem kapryśnej impresyjności, nadto bacz, by wnioski twoje odznaczały się obiektywizmem, na jaki pozwalają twoje możliwości: jeżeli zrobisz to w miarę rzetelnie, w imię prawdy, a nie próżnej chwały, i jeżeli – uważaj! – będziesz miał w istocie coś do powiedzenia: strzeż się!... i ty zostaniesz „strukturalistą”...¹

Róbmę swoje

Tak śpiewał Wojciech Młynarski w piosence, która odpowiadała na dramatyczne pytanie początku lat osiemdziesiątych:

¹ E. Balcerzan / *ty zostaniesz strukturalistą*, „Teksty” 1973 nr 6.

jak teraz żyć, po Sierpniu? Rok 1980 zamykał dekadę naszej pierwszej młodości, której początkiem był grudzień 1970. Jako studenci rodem ze Szczecina wchodziliśmy w tamto dziesięciolecie nie tylko z cudem uzyskanym zaliczeniem z języka staro-cerkiewno-słowiańskiego (prowadzący ćwiczenia magister obawiał się, że jadąc w grudniu przed świętami do Szczecina, opuszczamy Poznań może na zawsze, dał więc podpis...), ale też obserwowaliśmy już świadomie wydarzenia polityczne o historycznych konsekwencjach. Był to moment inicjacji, początek ideologii sprzeciwu i oporu. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych dojrzewaliśmy do ról obywatelskich pod niewątpliwym wpływem KOR-u, SKS-ów, „Zapisu”, w czym niebagatelny udział miały towarzysko-koleżeńskie kontakty z poznańską opozycją skupioną w dobrze znajomym mieszkaniu Anki i Staszka Barańczaków. Posierpniowe strajki studenckie na naszym Uniwersytecie, lektury samizdatowe (omawiane również na ćwiczeniach), liczne inicjatywy listów protestacyjnych, uliczne manifestacje — te i wiele podobnych zdarzeń wypełniały nasze życie na przełomie 1980/1981, kiedy na refleksję metodologiczną doprawdy nie było miejsca, a jeśli nawet, to pośrednio. Poetykę zdecydowanie połączyliśmy z etyką.

Okres stanu wojennego pamiętamy jako sytuację psychicznego i naukowego impasu. Oboje — włączeni w nie przerwane życie Zakładu — nie czuliśmy jednak bezpośredniego, intelektualnego zagrożenia. Dość szybko otrząsnęliśmy się też z rezygnacji i żalu po stracie wywalczonej na krótko wolności. Powrócili bowiem studenci, jak nigdy ufni i chętni do słuchania wykładów i zażartych dyskusji na ćwiczeniach. Zapewne każde z nas reagowało odmiennie na zaistniałą sytuację. Ania z jakimś masochistycznym zacięciem czytała Orwella, Wata, Herlinga-Grudzińskiego, Tyrmanda, Czapskiego... Ja przeczytałem poza tym niespodziewanie całą *Trylogię*. Funkcja tych książek była zapewne taka, jak w lekturze okupacyjnej: kerygmaticzna. Nasza świadomość strukturalnosemiotyczna uległa swoistej hibernacji, by ulec rozmrożeniu w procesie pisania prac doktorskich. Bo oto znaleźliśmy naonczas, mimo niepokoju zewnętrznego, potężną motywację do pisania naukowego. „Robimy swoje” — zdecydowaliśmy, wcielając się w rolę badaczy. Co prawda, trudno było niekiedy złączyć dwa nurty tej schizofrenicznej egzystencji: wykłady z teorii Ingardena czy interpretację prozy Schulza z relacjami manifestantów spod po-

znańskich krzyży na Placu Mickiewicza, do których z Collegium Novum dochodzi się w ciągu paru minut.

Robiliśmy swoje, bez jakiegokolwiek pewności, że oto na przykład rozdział rozprawy doktorskiej można będzie przeczytać na kolejnej konferencji teoretycznoliterackiej. Konferencje bowiem zostały zawieszono (obowiązywał zakaz zgromadzeń). W stanie zawieszenia znalazła się również nasza ufność, że jakakolwiek metodologia – nawet ta rodzinna – może być przeciwstawiona historycznym perturbacjom.

Trzcina metodologiczna

Zły czas minął przecie, pokończyliśmy doktoraty i nieco pogrubiały nasze kartoteki z rubryką „dorobek naukowy”. Natomiast pod koniec lat osiemdziesiątych w metodologii „rodzinnej” zaczął wyraźnie pobrzmiwać ton rewizjonizmu: za sprawą pewnych ekstremów pojawiły się na zebraniach Zakładu teksty zdecydowanie i tradycyjnie historycznoliterackie, a jednocześnie coraz wygodniej rozsiadał się esej. Obydwa przypadki nie budziły naszej sympatii. Jakoś trudno było z nimi dyskutować wedle utartych reguł, bowiem pierwszy – onieśmielał erudycją, drugi – ubezwłasnowolniał słuchacza urodą stylistyczną, lecz i brakiem analitycznej precyzji. Tak działo się nie tylko na naszym podwórku. Raz po raz docierały do Poznania książki będące bardziej „romansem z tekstem” niż jego strukturalistyczną obdukcją. Poszerzało się pole obserwacji – za sprawą normalniejszego rynku wydawniczego do naszej pracy dydaktycznej przeniknęły dzieła literatury emigracyjnej i „drugoobiegowej”. Coraz częściej okazywało się też, że teksty uwikłane są w tak różnorodne konteksty, iż przykładanie do nich dawnych narzędzi badawczych groziło zawężeniem interpretacji i straszło widmem niepo czytalności. Wydawało się, iż wraz z kolegami stanęliśmy na rozstajnych drogach. Ponieważ wszystko wokoło ulegało gwałtownym, aczkolwiek od dawna oczekiwanym zmianom, i nasza literaturoznawcza przestrzeń winna była zostać urządzona po nowemu. Wydaje się dzisiaj, że byliśmy do tego dobrze przygotowani i bez specjalnych wahań dostosowaliśmy się do nowych zadań badawczych. Nie zaskoczyły nas tematologiczne mody, kulturowa komparatystyka, różnorodne odmiany autobiografizmu. Wszyscy wokoło robili coś nowego

i zaskakującego. Barańczak drążył problemy metafizyczne, Balcerzan kuśił felietonem. Obok polonistycznej powagi w pisarstwie naszych nauczycieli pojawiły się elementy eseistycznej powabności. My sami stawiliśmy się bardziej wyrachowani: szukaliśmy najprzydatniejszych narzędzi do opracowywania podejmowanych tematów. Mieliliśmy nieodparte wrażenie, iż istniejemy jakby poza metodologią. Nie wydawało się ważne, jaki to sztandar powiewa nad naszym badawczym poletkiem. Swoista strategia konfrontacyjna, tak żywo odczuwana przed kilkunastu laty, odeszła w polonistyczną przeszłość. Być może jednak uczucie metodologicznej wolności było skutkiem długotrwałego treningu w używaniu strukturalistycznego instrumentarium badawczego, które nie najgorzej służyło teraz rozwiązywaniu nowych zagadnień. To, że niepostrzeżenie kruszeje strukturalistyczna teoria dzieła, nie bardzo nas bolało. I oto nagle odkryliśmy, iż jesteśmy „metodologiczną trzcina” z zadziwiającą łatwością dostosowującą się do nowych strategii poznawczych. Refleksja nad samym sobą — badaczem niedoskonałym i chwiejnym — nie oznaczała porażki. Twardą rzeczywistością pozostawały przestrzenie tekstów, biografie i biografie realne, prawda i historia w literaturze. Potrafiliśmy spojrzeć teraz na utwór jak na przejrzystą siatkę relacji, dostrzec jego intertekstualną żywotność, widząc w nim jednocześnie dzieło konkretnego człowieka: żywe dzieło sztuki. Herezja metodologiczna nas nie przerażała. Relatywizm wręcz cieszył. Nie czuliśmy wyrzutów sumienia, iż każdy krok stawiany przez nas podczas analizy i interpretacji był krokiem z innego tańca, z różnych repertuarów metodologicznych gestów. Elastyczność nasza miała jednak pewne granice, których przekroczenie groziło naruszeniem elementarnego poczucia tożsamości. Nie mogliśmy zaakceptować metod czy postaw, które nakazywałyby nam jakąś radykalną odmianę hołubionej koncepcji dzieła (Ingardenowskiej) i jego opisu (arystotelesowskiego). Innymi słowy, nie zdołalibyśmy przekroczyć granicy racjonalizmu badawczego, który zawsze nakazuje nam pytać o możliwość intersubiektywnej weryfikacji stawianych hipotez. Nie możemy zatem uznać za swoje myśli o dekonstrukcjonizmie. Nasza osobista metodologia opiera się też pokusie użycia języków nie swoistych, które zmuszałyby do osadzania interpretacji dzieła w kontekstach ideologicznych. Jesteśmy bowiem przekonani, iż wartościowanie utworu przy pomocy pojęć np. religijnych czy politycznych prowadzi do oddzielenia ich sensu od sys-

temów ideologicznych, w których są one semantycznie wyraziste. W literackiej interpretacji pojęcia owe mogą okazać się jedynie ornamentem.

Amplituda dopuszczalnych odkształceń „trzciny metodologicznej” ma tu wyraźny kres. Nasze myślenie o literaturze jest dzisiaj myśleniem syntetycznym, może – otwartym? Czy jednak moglibyśmy napisać powyższe zdanie nie przeszedłszy całej, pobieżnie tu przedstawionej, edukacji metodologicznej? Jerzy Ziomek w konferencyjnej autorefleksji z 1974 roku powiedział:

Jest się immanentystą, albo genetykiem, albo się myśli strukturalistycznie, albo historycznie, albo są dzieła i nie ma reguł, albo są reguły i nie ma dzieł. Rzadkie bywają doktryny eklektyczne. W ogóle nie wypada być eklektycznym. Bądźmy więc synkretyczni i przypomnijmy, że rozwój odbywa się przez odrzucenie, zachowanie, modyfikację.²

Profesor sam zdziwiłby się zapewne, gdyby przeczytał wówczas, że definiuje naszą dzisiejszą „metodologię osobistą”. A może nie zdziwiłby się wcale? Może synkretyzm i pragmatyzm to pokuta, której czas przyjdzie dla każdego?

² J. Ziomek *Metodologiczne problemy syntezy historycznoliterackiej*, w: *Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa*, Kraków 1976, s. 37.